Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 20. POZNAŃ, DNIA 15. MAJA. **1843.**

Krótki rys historyi Maticy czeskiéj. (*)

Źdźbło zarodowe, kiedy jest istotliwém, i z natury rzeczy wynikłém, chociażby było początkowo najniepozorniejszém, uda się przecież i wyrośnie na ziemi stósownéj, mimo okoliczności niesprzyjających, a tém bardziéj, gdy takowe sprzyjają, w roślinę potężną. Przykład tego mamy w rozwijaniu się wolném, lecz pewnym krokiem postępującém, Maticy czeskiéj.

Było to w r. 1821., jak trzech patryotycznych literatów czeskich przechadzało się w uroczych okolicach Pragi. Ze ściśnioném sercem spoglądali na stolicę dawnéj potęgi czeskiéj, nawpół zcudzoziemczałą. (**) Przedmiotem ich przyjacielskich rozmów była uprawa ojczystego języka, i stan literatury. Z rozpaczą objawiał najstarszy z nich swoje zdanie o niezdolności języka do opracowań przedmiotów abstrakcyjnych, do uprawy umiejętności. Utrzymywał on, że tylko w konkretnym zakresie powszedniego życia będzie musiał na przyszłość swój żywot przedłużać, przestając już na tém, gdyby go jaki poeta wybrał za organ swych duchowych natchnień. Innego zdania byli młodsi. Jeden z nich pokusił się już zastósować go do kilku gałęzi nauk przyrodzonych, nie śmiejąc jeszcze z zaścianka swéj pracowalni na widok publiczny wystąpić, tém bardziéj, że przyjaciele poklaskujący, jeszcze o ogólnym pomyślnym skutku powątpiewali; drugi zaś uważał, że jest do oddania wszystkich, a nawet najwyższych operacyj duchowych, z wybitną jędrnością obdarzony. Jeszcze smutniejsze, a nawet rozpacz wzniecające były widoki na przyszłość, czyby istotny ruch literacki powstać i istnieć mógł. Nie zbywało wprawdzie na pisarzach, lecz były to głosy na puszczy, bo nie było publiczności. Przy takiém usposobieniu umysłów wniósł starszy z nich, aby się pisarze i ich przyjaciele sami między sobą do wzajemnego odbierania pism, mających być wydawanémi, połączyli, aby tym sposobem, chociaż w szczupłym tylko zakresie, dla ruchu literackiego pole pozyskać. Było to pierwsze słowo brzemienne zarodem przyszłego rozwinięcia. W rok potém wydał jeden z owych przechadzających się odezwę, zachęcającą do zawiązania się towarzystwa ku uprawie języka ojczystego. Znaleźli się, choć nie bardzo liczni, przyjaciele, co swego podpisu, lubo jeszcze wahając się, nie odmówili. Odezwa ta dostała się do rządzcy kraju i przedłożono ją dyrekcyi towarzystwa narodowego muzeum. Po upłynieniu roku, wzięto rzecz pod rozwagę. Miała ona przyjaciół, ale też potężnych przeciwników, którzy takowy krok za obcy żywioł, za niewczesne wywoływanie rzeczy, już oddawna obumarłych, poczytywali. Przeto całą tę sprawę odroczono. Jednakowoż padło nasienie, które swoją siłę zarodową objawiło. Tymczasem i gdzie indziéj spokrewnione zarody powstawały. Nad Europą zeszło słońce pokoju, a jak ono we wszystkich siłach ludzkich nowe życie obudzało, tak też ogrzewało i do wzrostu pokrzepiało narodowe postacie objawiającego się ducha. Tak nadszedł nareście po dziesięciu latach pożądany czas, że ów pomysł zawiązania towarzystwa czeskiego do pielęgnowania języka narodowego, pod wpływem przyjaźniejszych okoliczności powtórnie się nasuwając, nakoniec się dojrzał i urzeczywiszczać się począł, jakto tego następująca pokrótce zebrana historya Maticy czeskiéj dowodzi.

(*) Jestto towarzystwo zawiązane przez członków towarzystwa narodowego muzeum czeskiego w celu kształcenia języka i piśmiennictwa krajowego, posiadające fundusze pieniężne, z dobrowolnych składek powstałe.

(**) Obecnie, Bogu dzięki, nie!

Przyp. Red.

Dosyć jest, obeznać się z niektórémi artykułami w czasopiśmie muzeum czeskiego umieszczonémi, aby jasne o przedmiocie powziąć wyobrażenie. Podajemy je tu w tłumaczeniu polskiém:

Odezwa komitetu muzeum czeskiego do przyjaciół czeskiéj literatury narodowéj w r. 1831.

„Komitet narodowego muzeum czeskiego uznał za potrzebę konieczną, aby wznieść literaturę czeską i nadać jéj kierunek lepszy, ustanowić kassę (pokladnice), z dobrowolnych składek, na wydawanie dobrych książek czeskich. W tymże celu zawiązała się 11. Stycznia 1830. r. z pomiędzy członków towarzystwa muzeum czeskiego osobna sekcya, zamierzająca przyspieszyć wzrost naukowy języka i piśmiennictwa czeskiego, a 1go Stycznia 1831. r. uczyniła następującą odezwę:

„Jakkolwiek literatura nasza narodowa, która dopiero za panowania cesarza Franciszka I. na nowo budzić się zaczęła, wielkie i znaczne już uczyniła postępy, zaprzeczyć jednakże niepodobno, iż w ogóle jest jeszcze niedojrzałą i ubogą. Większa część książek czeskich, obecnie się drukujących, zawdzięcza początek swój li miłości języka ojczystego niektórych pisarzy, poświęcających nietylko czas i pracę, lecz także majątek dla dobra ojczyzny, niespodziewając się ztąd wcale nagrody, ani sławy. Zdarza się jednak zbyt często, że, gdy się z jednéj strony wiele niedojrzałych i nieużytecznych, a nawet literaturze więcéj szkody niż korzyści przynoszących pism wydaje, z drugiéj, siły lepszych pisarzy naszych dla niedostatku środków zostają nieczynnémi.

„Aby więc zapobiedz niedogodności takowéj, i przyczynić się w ogóle do podniesienia literatury naszéj, jako téż i nadać jéj kierunek lepszy, uczyniło już nieraz kilku patryotów, tak prywatnie jak i publicznie, odezwę, aby z dobrowolnych składek, zbieranych po całym kraju, założyć kassę, dostarczającą funduszów na wydawanie dobrych książek czeskich. Gdy wreście komitet towarzystwa muzeum czeskiego, na mocy ustaw od J. C. M. potwierdzonych, 11go Stycznia 1830. r. z pomiędzy siebie sekcyą osobną kształcenia naukowego języka i piśmiennictwa czeskiego utworzył, uważali członkowie téjże sekcyi za powinność swoję przedmiot tak ważny szczegółowo rozebrać. W téj myśli napisano, po naradzeniu się i za pozwoleniem wszystkich członków komitetowych, następujące punkta, które pod rozwagę wszystkich dobrze myślących, prawych Czechów, z zupełném zaufaniem w nich poddajemy:

1) Ze składek pieniężnych, które przyjaciele literatury narodowéj raz na zawsze ofiarują, urządzi się kassa osobna pod nazwiskiem: „Matica czeska.“

2) Kassa ta (pokladnica) zakłada się w tym celu, aby wydawców dobrych książek czeskich, treści bądźto naukowéj, bądź estetycznéj, lub innéj jakiéj pożytecznéj, wspierać.

3) Sekcya narodowego muzeum czeskiego, któréj wydziałem jest literatura i język czeski, może pod dozorem obranego na to członka towarzystwa muzeum czeskiego, kassę tę na podobne cele przeznaczać, z czego złoży corocznie rachunki przed komitetem towarzystwa.

4) Każdy ofiarowany towarzystwu datek złoży się natychmiast do ogólnéj czeskiéj kassy oszczędności, a skoro tym sposobem kapitał się zbierze, wypożyczy się to na pewne procenta, które się na cele w paragrafie drugim wyrażone przeznaczają.

5) Każdy, jakikolwiekbądź datek, w duchu patryotycznym na cele takie ofiarowany, przyjmie się z wdzięcznością; kto zaś 120 złtp., czy to na raz, czy téż w pewnych ratach wypłaci, policzonym zostanie między założycieli kassy Maticy czeskiéj.

6) Założyciele kassy czeskiéj odbierać będą po ksemplarzu każdéj książki, nakładem onéjże wydrukowanéj, albo za pomocą jéj wydanéj.

7) Nazwiska założycieli i dobrodziejów kassy Maticy czeskiéj, jako téż ilość ich składek, poda się corok do wiadomości powszechnéj.

8) W stósunku do stanu kassy oznacza sekcya, które, i ile książek corocznie ma się wydrukować; szczególnie zaś na to zważać będzie, aby z czasem dokładny i krytycznie opracowany słownik języka czeskiego i encyklopedyą nauk realnych wydano.

9) Podarunki i składki przyjmują w Pradze podpisani członkowie sekcyi, lub téż bibliotekarz muzeum narodowego Wacław Hanka; poza Pragą zbierający członkowie narodowego muzeum czeskiego; za co każdemu, kto tego zażąda, kwity się wydadzą.

W Pradze 1go Stycznia 1831.

Od sekcyi towarzystwa narodowego muzeum czeskiego, ustanowionéj w celu kształcenia języka i piśmiennictwa czeskiego.

(Podp.) Józef Jungman, Jan Presl, Franciszek Palacky.

Za wierność oryginału zaświadcza:

Rudolf ks. Kinsky,

członek komitetowy towarzystwa nar. muz. cz.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POEZYA.

PIOSNKA CHŁOPCZYKA.

Dawaj ojcze, dawaj miecz,
Dla ojczyzny pozwól żyć;
Na .... pójdę siecz,
Będę rąbać, będę bić. —

Nie szczędź ojcze, nie szczędź krwie,
Bom młodzieniec, mam jéj dość;
W ciele małém serce lwie,
Dla ojczyzny będzie rość. —

Pozwól ojcze siąśdź na koń,
Niech zakipi wroga krew;
A niech laur wieńczy skroń,
Gdy polegnę jako lew!

W Krakowie, d. 9. Lutego 1843. r.

J. K. L.

Ostatnia wiosna Pokucianki.

(Ciąg dalszy.)

Bo cóż jest nasze życie? Jest ono jak płaczące dziecię, a poezyi macierzyńska miłość przyciska je do swojego łona, aby go utulić, aby się marzeniem pokrzepiło, by wytrwało w téj pielgrzymce cierniem usłanéj. Pocieszycielko! czy może być co wznioślejszego nad ciebie? ty stawiasz wielkości pomniki w piersiach ludu, które ni czas, ni złość zniweczyć nie są w stanie — tybyś chciała całą ludu rodzinę objąć w swoje macierzyńskie ramiona, i widzieć ją rządną, wspaniałą i szczęśliwą! Ty ulatujesz w niebiosa, a napojona tamtém życiem, chciałabyś je przyciągnąć do ziemi dla ludzi!

Takiemi myślami rozpłomieniony Żelisław, powrócił do naszych podróżnych. Słońce już było wysoko, i wszystko stało w pogotowiu do dalszéj podróży.

„Ty zdajesz się być bardzo wzruszony, kochany mój Żelisławie?“

„„Amelijo, odżyła w méj piersi pamięć mojego najlepszego przyjaciela Maurycego. Przy jego boku prześniłem moją młodość, a jego pieśniami i wiarą skołysany, wzrosłem na męża. On był moim mistrzem i przyjacielem.““

„O ja lubię bardzo jego piosnki; obiecałeś mi dawno wspomnieć o jego pobycie w tych stronach.“

„„Najchętniéj moja Amelijo, o ile mi uniesienie pozwoli, o ile byłem naocznym świadkiem jego dumań, bo ci wiadomo kochana Amelijo, że wraz z nim powróciłem z Francyi.““

Towarzystwo podróżujące wsiadło do powozu, a Żelisław, popieściwszy białe rączki swojéj czarnobrewy, zaczął mówić:

„„Z nad brzegów Sekwany, po kilku latach tułactwa, z tęsknotą w sercu, z smutnemi pamiątkami w duszy: o Zorze, o śmierci matki, dla któréj wszystko poświęcił, z nieugiętém postanowieniem poświęcić się jeszcze raz za dobro rodzinnéj ziemi, powracał pokryjomu młody wygnaniec. Piosnka tęsknoty:

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna. —
Tam najpierwsze szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

dzwoniła z bolałego łona. Rozmarzonemu uśmiechała się gwiazda nadziei, a stłumione uczucia raz po raz powierzał wiatrom: „O pola ojczyste, zlane krwią! kiedyż zakwitnie na waszéj piersi kwiecie swobody? Nieprzyjaciel czycha nad grobem matki, zalał naszą ziemię, rozciągnął się jak chmura w jesieni, lud pierzcha, kryje się przed zabójczą dłonią wściekłego wroga ludzkości, choć zna dzieje mieczów swoich pradziadów, ile to razy najezdny wróg, złamany chrobrą dłonią, tarzał się w posoce własnéj krwi. O! kiedy się zagoją wasze rany współbracia moi? Czemu wraz z utratą szczęścia człowiek i pamięci nie traci? Czemu wiecznie przesuwają się w mojéj piersi minione lata? Czemu myśl ciągle tkwi w téj stronie?“ a oko zwróciło się w tę stronę, gdzie jego rodzinna ziemia była, i ze łzą w oku mówił daléj: „O! bo cóż może być droższém na tym świecie, jak rodzinna zagroda, ojczysty kraj? — Tam młodość moja minęła jak sen złoty, tam uniesiony szałem zasypiałem na woni kadzideł, na posłaniu z kwiatów, skołysany jak dźwiękiem arfy, śpiewem czarodziéjki kochanki. Tam tyle drogich sercu istot: ojców, matek, druchów. Młodość moja nie wróci, ale jako mąż rozniecę święty Znicz przygasły, napoję ucho dzieci pieśnią lat minionych; a gdy im młoda krew zawre w ciele, młodzieńce niech się zasłuchają w szczęku kos, w poświście kul, jak to było za dni innych — za dni lepszych. To muzyka narodowa, godna współczucia osieroconéj rodziny!

„Rozbitki powracamy z dalekiéj ziemi, jak gwia-

zdy nadziei odżycia, jak młode orły, co już nawykły bujać w obłokach przy boku rodziców orłów, kiedy razem z niemi dzieliły się żérem na polach Majdanka; aby teraz przewodniczyć pisklętom. Rozbitki powracamy do was bracia z płomienistą duszą i z odwagą, co się niewzdrygnie zajrzeć w oczy kata. Nieodrodni synowie Sarmatów, coście zrośli pod zbroją, a huk dział kołysał was do snu; coście przewalczyli waszą młodość zaszczytnie; wasze popioły drzémią w łonie matki ojczyzny, a wasze imiona żyją w ustach ludu; o rycerze! pozwólcie nam użyć waszego oręża, pohulać po dawnemu, z lancą w dłoni, bo my z rodu Sławy — my zapatrzyli się na was, my zasłuchali się w waszych dziejach, my zamiłowali w waszych czynach! Błogosławcie nam! niechaj nie mówią cudzoziemcy: zniewieściał naród, spożył się sam, starością zgrzybiały. Będziemy jak burza w walce, a jak promień zachodzącego słońca łagodni w dniach pokoju!

Serce biło z radości, kiedy mu zabłyszczały sine szczyty laszych Tatrów. Ucałował ojczystą ziemię i wciągnął całą piersią powietrze rodzinne. Nad jego głową wzleciał orlik, Maurycy przyłożył strzelbę, spróbować szczęścia, lecz jakaś niewidoma władza wstrząsnęła nim raptownie, opuścił ręce, stał wryty jak pomnik grobowy, wpatrzył się w niebo — orlik biały wzbijał się wyżéj — on stał nieporuszony, nie miał odwagi podnieść powtórnie zabójczą broń na tego samotnika Karpat. Łza zabłysła mu w oku, łza po kraju, po druchach, łza tęsknoty, łza uniesienia, łza dzikich, piekielnych uczuć, którym zawtórował szum starych jodeł. Ukląkł. Była to chwila, gdzie przemogła religija, wyssana z mlékiem matki, a dusza uleciała przed oblicze Stwórcy zanieść Mu skargi i prosić o błogosławieństwo. Niezabudek patrzył z udziałem politowania na niego, bo on się modlił za matkę — ojczyznę. Maurycy spostrzegł swojego powiernika, zoczył w niebieskich jego oczkach zawisłą łzę perłową i zawołał z uniesieniem: „Oni mię tu pamiętają:

Jak żyć miło na téj ziemi,
Którą kochać jest potrzebą,
A bronić je pierśmi swemi
I ledz w obronie jéj bytu,
Ani ziemia, ani niebo
Nie ma równego zaszczytu!“

Uszczknął kwiateczek nadziei, przytulał do płonącego miłością łona i spieszył daléj podobny do krążącego ducha nad zgliszczami przeszłości — i znowu ukląkł — i znowu dumał. „O Tatry! o święta strażnico kraju! któryż człowiek może się zbliżyć w te święte miejsca, któregoby dusza nie utonęła w modłach? Ileż to szczęśliwych wieków pamiętacie! Ileż to wspomnień drzémie na każdym odłamie skał waszych! Przetrwałyście stale w wierze staréj i spoglądacie okiem wieków na odradzające się wielkie plemię Sławy synów!“

A jakby na powitanie jego pokazała się pasterka, w wiosennéj cudnéj krasie, świetna jak tęcza pokoju wśród burzy, powitać syna śmierci. Piękna jak promień słońca, jéj oczy jak dwie gwiazdy na niebie, usta jak pączek rozwijającéj się róży, a kruczy włos spływał w pierścieniach na śnieżną pierś, a ramiona ocieniała biała gaza.

Maurycy wyciąga do niéj ręce, zaklina, woła: „Zoro! Zoro!“ Dziewica przykłada rękę do ust i odpowiada przymileniem anioła. Maurycy spieszy ku niéj, lecz ona jak Rusałka uchodzi, zawodząc pieśń dziką, pieśń walki i błyszczy stalą w ręku: „Daléj z orężem w imie Boga równości synowie bohatérów!“ i znika jak mgła ulatująca, kiedy poranek wyziera z łona nocy, ocknięty złotém światłem wstającego słońca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dom obłąkanych w Owińskach.

(Dalszy ciąg.)

Sądzę, że kobietę tę nie tak trudno byłoby uleczyć, jak się zdaje, bo w prostym umyśle, gdzie podstawy religijnéj nie wichrzy rozumowanie, gdzie sama wiara jest działającą, zdziałać ona potrafi wiele, jeżeliby umiano użyć jéj wedle potrzeby. Kobieta ta, zamknięta w celi, sama sobie zostawiona, coraz tylko więcéj tonąć może w przewrotnéj myśli, a przy żywości i przy owém pragnieniu pracy, dójść w obłąkaniu do ostatniego stopnia. Gdyby jednak można zająć się nią wyłącznie, zwracać jéj umysł na inne przedmioty, a wychodząc z jéj własnéj myśli, z owego urojonego nawiedzenia, prowadzić ją tąż myślą, zręcznie zapuszczając korzeń czystéj wiary, mogącéj posłużyć ku sprostowaniu jéj rozumu; może byłoby podobno, używając obok tego skutecznych lekarskich środków, uleczyć ją. Musiałby jednak zająć się podobną chorą znawca serca i umysłu ludzkiego, człek serca, coby najprzód jéj przywiązanie zyskać umiał, a dopiero wtenczas mógł działać na nią, jak nauczyciel na przywiązane do siebie dziecko; to obietnicą, to prośbą, to

groźbą, a wszystkiém w swoim czasie, w czas zwracając uwagę jéj na mogące ją zająć przedmioty, w czas przy pracy dając jéj zapomnieć o błędném urojeniu. Mamy nawet podobnych wiele przykładów, a jednak dotąd tak mało wpływ moralny do leczenia obłąkanych bywa używany!

Krzyk, wrzask, śmiech na przemian, powitały nas na progu celi trzeciéj. Wypadła z niéj z żywością wiejska kobieta niemiecka, już nie młoda, z czépkiem w duże falbany, w czystéj modnéj spódnicy, opasana fartuchem, jakby szła od roboty. Oganiając coś od siebie ciągle, ochrzepłym nieco od krzyku głosem, poczęła wołać, łajać, wyrzekać, że nie może pozbyć djabła. Biegała tam i napowrót, załamywała ręce, wyrzekając okropnie na swe nieszczęście, iż przeklęta od Boga, z djabłem wiecznie dręczyć się musi. „Czemuż przeklęłam Boga, czemuż oszukałam Boga?“ krzyczała i wołała. Pytaliśmy jéj, z kąd jéj się wzięło urojenie o djable? Odrzekła nam, że urojeniem wydaje się to nam być, nam, którzy djabła nie widzimy, nie słyszymy jak ona, co przeklęta od Boga, zawsze go widzi i słyszy. Zapytałam, za co więc Bóg ją przeklął, a ona rozumnie, choć z nadzwyczajną żywością, poczęła opowiadać dziwną swoją przygodę. „Byłam ja,“ mówi, „na pogrzebie dziecięcia; wszyscy płakali, a ja nie mogłam. Więc zatkałam sobie uszy i twarz rękami zasłoniłam, położyłam się na grobie i udawałam, że płaczę. Wtenczas przeklął mnie Bóg, bo ja go oszukałam; przeklęłam Boga w mojém sercu. Przyszłam do domu i chciałam modlić się na książce, a tu latało po niéj przeklęctwo Boga; wszystkie litery latały i nie mogłam się modlić. Tak szło dni wiele, aż nakoniec, gdy się ciągle nie modliłam, przyszedł djabeł, który wszedł we mnie, a za nim przyszło jeszcze pięciu djabłów i wszyscy mnie teraz dręczą i gadają i dokazują, a ja muszę biegać, jak szalona, krzyczeć, wrzeszczeć, bić.“ Skończyła opowiadanie i znowu je rozpoczęła, mieszając wszystko razem; to znowu wyrzekając, biegała i załamywała ręce. Ze wszystkiego, co mówiła, widocznie, że wyrzut sumienia jest powodem jéj obłąkania, a sumienia tego głos jakże musiał być silnym? Czémże jest to sumienie porównane z sumieniem światowém nabożników, nabożnisiów i ludzi niby to zasad? Mogą oni jak szatę zmieniać sumienie, mają ich na wszystkie przypadki po kilka, z których wedle potrzeby coraz inne przybierają według okoliczności. Oszukują oni Boga, ludzi, siebie samych, od rana do wieczora, a sumienie ani myśli co ganić; ta kobieta raz jeden oszukała Boga, mieszkającego w jéj prostém sercu; oszukała prawdę i przypłaciła tak srogo! Czémże więc jest sumienie u jednych wygodne, elastyczne, jak poduszka z miękiego puchu, do spoczynku sporządzona; u innych surowe, nieubłagane, jak Bóg piekieł? — ? — Nawyknieniemże li tylko? czy Bogiem téż uchodzącym ze serc skażonych, co mu czci godnéj oddać już nie są w stanie? Jakże więc błogo musiało mu być w sercu niewiasty prostéj, co ukochała prawdę tak silnie! Słyszę ja zawsze tę kobietę, jak woła, jak wyrzeka, że przeklęta od Boga, bo go oszukała! — Mówiłam do niéj własnémi jéj słowy, starałam się wystawić, że silniejszy Bóg od djabła, wypędzi go, byle szczérze zapragnęła przebaczenia Boga, który najlepszym, najłaskawszym, a nad wszystko ludzi kochającym jést ojcem. Zadumała się nad tém głęboko, lecz wnet poczęła znowu gadać, jak dawniéj. Mówił mi dozórca, że czyniono jéj wiele w téj mierze przedstawień, że przyjmowała nawet komunią, ale i to nie pomogło.

Mnie zdaje się jednak, że równie jak pierwszą, i tę kobietę łatwoby uleczyć, a może i łatwiéj; lecz i nią szczegółowo zająćby się potrzeba. Ma ona pamięć dobrą; wie, że jest w domu obłąkanych; powiadała nam, że od dawna wiedziała o tém, iż nie pomogą jéj w domu obłąkanych, bo nie obłąkaną jest, ale chorą, a choroba jéj klątwą i srogiém przypuszczeniem od Boga.

Tak celę po celi zwiedzając, pominąwszy próżne, i te, z których wyrywający się jęk głośny, zmieszany z śmiechem konwulsyjnym i szczękiem kajdan, nie podobnym do opisania, przejmuje serce smutkiem, a których sam dozórca nie rad chce otworzyć, bo i nawykłego do tego okropnego widoku przeraża on i boli; doszłam nareszcie końca korytarza, w którym to owe cele dla niebezpiecznie chorych, dla ludzi uznanych po części za chorych bez nadziei, dla chorych skazanych na odbywanie wiecznie walki z rozumem, do wojowania z nim wiecznie orężem szaleństwa. W niejedném z serc tych, z tych umysłów pod szaleństwa powłoką, bije żywo serce i spoczywa myśl poważna, ale któż ich tu pójdzie szukać? „Szaleni!“ wyrzeczono o nich i zamknięto na klucz. Teraz jak zwierzęta w klatkach odwiedzają ich ciekawi widzowie, a setnemu łza gorąca spadnie z oka, a setnemu przyjdzie na myśl, w obłąkaniu wieśniaczki, uszanować wielkość, potęgę sumienia, fałszem nieskażonego!

Opuściwszy korytarz dolny, szérokiémi schodami udajesz się na górę; tu znowu sień széroka, jasna, drzwi przy drzwiach, a każda z cel tych, z przyległą drugą, przeznaczona dla jednego obłąkańca. Lecz te

cele nie smutne już jak dolne, owszem jasne, z dużémi oknami; jedna z nich do bawienia, druga do spania. W obudwóch czysto, chędogo, miło, lecz jeżeli zechcesz wpatrywać się w szczegóły, od celi do celi chodząc, dziwna uderzy cię różnica w umeblowaniu tych mieszkań; sprzęty we wszystkich, co do formy, politury, jednakie; w celach *wyższego stanu obłąkanych*, z droższego, w celach *niższego stanu chorych*, z tańszego drzewa porobione. Wielki Boże! I tuż więc dotąd, do tego miejsca, dokąd wyrok przeznaczenia dla wszystkich tych nieszczęśliwych równie srogi, zegnał ich bez względu na majątek czy ubóstwo, na wielkość czy poziomość, i spokrewnił ze sobą najściśléj, najdoskonaléj zrównał ze sobą, i dotąd rozciągaż się błaha różnica stanu pod tak śmieszną formą! Jest coś aż do oburzenia śmiesznego w tém urządzeniu! inaczéj bowiem, gdyby tym nieszczęśliwym dano sprzęty, do których nawykli, które przyzwyczajeniem stały im się drogiémi; ale różnica, jaką tu uczyniono, bez korzyści dla obłąkanych, uczyniona chyba dla nieobrażenia *dostojnych gości*, zwiedzających to mieszkanie nieszczęścia!

(*Dokończenie nastąpi.*)

Do historyi dawnéj Polski.

Strzała z sajdaku,

którą korona polska, śmiertelna już matka, strażą obtoczona, z ciężkiego więzienia swego do dziatek swych stanu rycerskiego ku przestrodze wypuściła.

Przez pana Szczęsnego Herburta.

(Z rękopisu współczesnego.)

(*Dokończenie.*)

Są bowiem ci wotowie częścią cudzoziemcami, częścią uwiedzenia i ducha i umysłu cudzoziemskiego, dalecy od miłości narodu naszego, przytém i na to umyślnie wysłanymi, aby tę radę wszystkiéj Rzeczypospolitéj szkodliwą swémi gorącémi fortelami, jako jajca jaśpidowe zagrzewali, ażby je wylęgli, aby tak tym złośliwą drogę z każdéj miary udawszy, z trzaskiem subjugować mogli wszystkie państwa pod wyuzdaną władzą jednego tyrana. Przezco (ach niestetyż mnie nieszczęśliwéj!) i jam już jest blisko ostatecznego i nieporatowanego upadku, już mi bowiem niestaje tak wiernych stróżów i pomocników dziatek moich, jakiem więc przedtém w mym młodym wieku miewała, bo mało nie wszyscy pobłądzili, jedni dla niepotęgi, drudzy dla bojaźni, inni dla miałkości dowcipu, a niektórzy źli synowie złotem już przemożeni. Jednak przecie i ten choć tak potężny i tak nader szkodliwy raz, nie był mi tak do końca śmiertelny, przeto, iż się w nim i w fortelach jego wiele cnotliwych synów moich ze mną poczuwało i przy mnie opowiedało: by się był ten nieżyczliwy i nielitościwy opiekun mój z pół z témi zwątlonémi filarami mémi na mój upadek tak koniecznie nie nasadził, któremu już wytrzymać i takowéj mocy podołać nie podobna; tego bowiem ostatniego, a ze wszech najpotężniejszego fortelu na mnie stucznie użył, że odemnie odrywa, a niektóre i oderwał pierworodne w męstwie syny moje, wymiot im taki dawszy, a mnie do nich tak udawszy, jakobym nie ja od niego uciśniona i ukrzywdzona była, ale on odemnie. Przytém ich obtoczył tak twardym murem, że się im o tém nie tylko pytać, ale téż przeciwko temu i bąknąć nie wolno, bo to głową, szubienicą płacą. Ostatnia niewola nad narodem wolnym! O nieszczęśliwa matka! któréj własne dziatki jedne tak zelżywie tracą, a przez drugie cię dobijają. Aleć i drzewo nie tak wielki gwałt cierpi od ostréj siekiery, kiedy nią podcinane bywa, jako go cierpieć musi, gdy z niego samego klin zaciesany mocno w nie zasadziwszy biją, tam się więcéj dopiero z wielkim trzaskiem padać wszystka moc jego i wszystkie przyrodzone a mocno spojone związki jego muszą. Tak i mnie nieszczęśliwéj nie tak i te wszystkie fortele, które ostrym dowcipem w wolności mię uderzały, były szkodliwe, jako gdy już z własnych dziatek moich, z pierworodnych w męstwie synów moich, klin na me wolności urobiono, a on w wolności zasadziwszy, złotym go obuchem potrącają i już się teraz już wszystkie związki mocą z łupającym się trzaskiem gwałtem padać i swój ostatni termin wziąć muszą. Ach nieszczęśliwa Ezausowa polewko! którą zgłodniałe dziatki moje za ich pierworodztwo napawają! a naród wolny przez samęż wolnę w niewolą pędzą. Takąć radę rozerwać było trzeba temu fortelnemu nieprzyjacielowi memu, tych związek, tych strzał, aby były połamane, które w kupie złamane być niemogły. Tym ci mię już ostatnim fortelem, tym i wolności waszych dziatki moje dobijają. Przebóg synowie moi mili! ocućcie się, bo jeśli się nagle nie postrzeżecie, od swego razu własnego padniecie i zginąć musicie. Już ci o samych was idzie, którzyście się w opiekę a niewolą podali; jam ci już sama siebie odżałowała, ale wam wolnym cóż ma być cięższego, jako gdy was wolnie zrodzone zniewolą. Ażaż wam nie doma, ażaż nie dziedzicznymi jesteście? Nie dajcie przebóg gwałcić wolności waszych przychodniowi,

niechaj sobie przez was na wszystkim narodzie waszym i na dawno uskarbionéj sławie jego sławy nie ugania tento nieżyczliwy cudzoziemiec; nie przywódźcie dziatki nieostrożnością swą chwały narodu swego u wszystkich narodów w obelżenie. Czemuż przez was przy jednéj osobie cudzoziemskiéj sława zwycięstwa nad narodem waszym zostaje? O głupie dziatki! azaż to ojciec, jako się tém chlubi; azaż nie krwawy ojczym, który was fortelnie odemnie oderwawszy i złotą was wędą ułowiwszy, jedno dziecię o drugie roztrąca? A wy też azażeście dobre dzieci, którzy chcąc w odmęcie co ułowić, naród swój łżycie, własne wolności gwałcicie? Wyrodkowie to, a nie właśni synowie czynią. Wierzcie mi dziatki moje, że już nie wczas będzie tę ranę leczyć, dawszy się jéj dla tego większego zysku tak szkodliwie zepsować; przyjdzie piekielny ogień, dla którego po członku żałośnie odrzynając i samego ciała przyjdzie postradać. A kogożeście, moje miłe dziatki, powinni bardziéj miłować, mnie, li dziedziczną matkę waszą, któram was porodziła; czyli przychodnia ojczyma, który was z własnéj wolności zdziera? Nie umierała wam nigdy matka wasza aż dotąd, a takowych wstępniów co się ich przewinęło? Jam wam sławę, pokój i wolność rodziła, na was zaś i na takowe wstępnie moje to opływało, którzy jednak tego niewdzięczni byli, bo jedni zarwawszy was i mnie mocnie odbiegli, a drudzy wełny złotéj naskubszy i mnie matkę waszą zubożywszy, jeszcze przez was samych mnie dobijają. Głupi Szwedowie, choć w niewoli zrodzeni, przeszli was w tém radą zdrową i dzielnością, którzy aby choć daleko w podlejszych wolnościach gwałtu niecierpieli, wiedzą żywi i umarli co czynili. Bójcie się tego dziatki moje, z których już złe instrumenta ku zepsowaniu wolności sobie poczęto, żeby się to wam ze mną nie stało, co się z węgierską koroną, siostrą moją i synmi jéj stało. Z tego bowiem źródła wszystkie te praktyki dziś pochodzą na miłą ojczyznę waszą, z którego pochodziły na tę tam miłą siostrę moją. Zaczém czego się i wam dziatki moje niezgodne i mnie przy was matce spodziewać trzeba? Takiegoż właśnie zginienia, jeśli się Pan Bóg nie zmiłuje, a wy nie obaczycie. Upokórzcie się dziatki moje Bogu, ucieczcie się do zdrowego rozumu, wyrzeczcie się téj chciwości, boć ta jest sidłem waszém; niechaj wam przebóg ta polewka nie smakuje, boć w niéj jest trucizna; nie pragniéjcie tak nienasyconą chciwością tego znikomego złota, aby wam tak w gardle nie stanęło, jako owemu królowi Midasowi. Stańcie się w tém wzdy onym przodkom waszym, którzy się więcéj w sławie i w cnocie, niż w złocie kochali, podobnymi. Ale cóż jest po tak wielu próżnych słowach moich! dosyć; dobrzy, to się i przez to pobudzą, a złym i wszystek świat słów nie pomoże. A jeśliby was wzdy dziatki moje ten tak ciężki lament mój i słowa krwawą krzywdą zmieszane nie przekonały, więc mi nędza będzie żałosnéj matce, jedno zapomniawszy ku wam wrodzonéj miłości, włożyć to na bogi moje, a u nich za was prosić słusznéj a prędkiéj sprawiedliwości. Nietrza mi nawet będzie dla oczyszczenia swego jedno to dać wpisać w metrykę wszystkiego świata, aby to na was przyschnęło i aby to u wszech narodów pamiętno było, że wy sami jesteście przyczyną tego ostatniego upadku i żałobliwego zginienia swego. Bo azażem się ja wielekroć dziwnie fortelnym i potężnym, na mnie się nasadzonym nieprzyjaciołom, z niektórymi tylko cnotliwymi syny swoimi a bracią waszą, prawie nad siły ich i moje o wolności i sławę moją i waszą nie zastawiała? Azażem w ostatnich toniach moich obu rąk do was moich: rata! przebóg! rata! synowie moi mili! wołając, nie wyciągała? Jeśli też jest jeszcze u was szczęt zdrowéj i dobréj rady, jeśli jest co słusznéj mężkiéj dzielności, jeśli jest co starożytnéj cnoty a stateczności; zatrzymajcie jeszcze całość i sławę narodu swego, proszę, którem ja wam aż dotąd statecznie dotrzymywała. A was już żegnam ciężkim żalem zfatygowana, ostrémi grotami i hartownémi strzałami uspilowana, we krwi ubroczona, konająca matka wasza; przyjmiecieli przestrzeżenie moje to do was, jeszcze za szczęśliwe między narodami poczytani być możecie; nie przyjmiecieli, padniecie sami od własnego razu swego i zostaniecie w dobrowolném zginieniu waszém. Niechajże dział wasz kto inszy weźmie, a ja was powoływam przed bogi moje, przed którémi się z wami pewnie rozstrzygnę czasu swego.

Korrespondencya.

Przegląd lat. (*)

Przez *Fr. W.*

Pod tym napisem czytaliśmy niedawno w numerze 13. Tygodnika literackiego poezyą, ułożoną przez Fr. W., w któ-

(*) Przyznać się otwarcie musimy, że tylko z wielką trudnością, i li tylko dla tego, że rękopism, *bezimiennie* nadesłany, pisany był ręką jednego z najszanowniejszych współpracowników naszych, tę korrespondencyą umieściliśmy. Przegląd lat w Nrze 13., ile nam się zdaje, nie jest płodem tego sza-

réj autór, z powodu zakończenia starego roku, dumając nad przeszłością swoją, wprowadza poetycznie rok stary w postaci starca, przychodzącego doń po kolędzie. Przez szkło optyczne, za którém starzec przesuwa kolejno różne widoki, wpatruje się poeta w przeszłość, widzi przed oczyma szereg poprzedników swoich; a czyniąc przegląd lat upłynionych, poznaje, że nie był gorszym od swoich zmarłych braci.

Pozwoli szanowny autór ustawić raz jeszcze to szkło optyczne i ponowić przegląd jego lat, nie już pod względem cacek dziecinnych, zabaw, szczęścia, swobód i t. d., ale pod względem spraw i zatrudnień męża, prac spółeczności krajowéj użytecznych, dzieł literackich, poetyckich, które z dawna w świecie uczonym imie *Fr. W.* uczyniły znaném i głośném. Może przez szkło naszéj optyki, wypukłe szkło czasu dzisiejszego, rzeczone dzieła i prace wydadzą się w nieco odmienném, nieco słabszém niż dawniéj świetle; przecież należnéj zalety nie stracą w oczach bezstronnego sądu, który na przeciwnéj szali umieszcza same niemal względy cza[illegible] epoki, do któréj te dzieła w większéj części należą.

Kiedy pomyślne dla narodu nadzieje, mianowicie wypadki roku 1809., obudzać poczęły ducha ojczystego, wlewając w serca zapał powszechny; wyraził się zaraz ten zapał przez usta wieszczów, którzy jęli nim silnie krzepić oniemiałą z dawna muzę krajową. Widzimy w ich liczbie występującego po raz pierwszy poetę, z świeżą, młodzieńczą wyobraźnią, sercem przepełnioném uczuciami patryotyzmu, i obudzoném przez nie silném lirycznem natchnieniem, mocą którego śmiało i od razu wstępuje na parnas ojczysty. Nastraja naprzód do poważnych heroicznych tonów swą lirę — wracających do stolicy polskich rycerzy wiedzie do świątyni Marsa, ubiera ich w rzymskie togi Kamillów, Fabrycych, Sulpicyuszów i na odrodzonéj scenie ojczystéj wieńczy wspaniale *Epilogiem sławy.* W wybranym znowu z dziejów krajowych obrazie, (acz nie bardzo do owéj chwili stósownym) obrazie, mówię, zdradziectwa kraju i niecnoty, kształci swe dramatyczne pióro i język poetyczny.

Pierwsze z tych poematów, dla niezachowania prawideł teatru klassycznego, przez autora jedynie sceną historyczną nazwane, prócz języka, nie ma w sobie nic narodowego. Drugie, w foremniejszym układzie osnowy, mające dosyć zajmujące sceny i wiele pięknych ustępów, przedstawia dziwną mieszaninę charakterów i obrazów, które żadnéj nie mieszczą w sobie prawdy. Patrzmy na tę pychę i zawadyacką zuchwałość, cechującą napoleońskich ochotników z epoki 1809. r., ducha nowoczesnego patryotyzmu, który tu stanowi charakter bohatéra aktu IV., mający przedstawić widzom obraz wieku Zygmunta. Poeta w rozprawie napisanéj r. 1821. oświadcza, iż najusilniéj starał się w téj sztuce o utrzymanie charakterów główniejszych osób. Sam główny bohatér dramatu jestże charakterem silnym, czy słabym? Uczyniłże poeta jego położenie w ciągu działania traiczniejszém, niżeli było przed zaczęciem? Na początku sztuki, zgryzoty (raczéj Eumenidy) ścigają bezsennego zdrajcę ojczyzny, który przed niemi ucieka, tak głośno deklamując w swym monologu, że aż brzmią poruszone ściany przybytku, i budzi się córka bohatéra, w głębszych śpiąca komnatach. Potém ostygać już w nim zdaje się ten zapał, i poprawą jego życia zajmuje się tylko jakiś młody przyjaciel, potrzebny na kochanka wprowadzonej (jak zwykle we wszystkich francuzkich trajedyach) miłości. Cóż mówić o rozwiązaniu sztuki, wcale niestósownem i nie traicznem?

W wierszach opisującéj treści, pod tenże sam czas ułożonych, skreślił poeta malownicze wdzięki okolic sławnych z swojéj piękności. Pisma publiczne oddały im wtedy poklask należny. Jest to w saméj rzeczy najpiękniejszy ze wszystkich, najwięcéj ceniony płód poetycznego pióra Fr. W., który w nim rozwinął wszystkie zdolności i złożył bogactwo zamożnego talentu. Potrzeba było jednakże wzywać koniecznie Trembeckiego, z wydeptanych dworaczą stopą chłodników Zofiówki, do skreślenia bogatszéj w wdzięki przyrody i zachwycających powabów ojczystéj ziemi. Mistrz użyczył poecie swego pęzla, lecz nie potrafił użyczyć daru tkliwości. Nie ma też w całym tym poemacie ani jednego tkliwego obrazu, ani jednego wiersza dla serca. Nie mało również ujmuje mu zalety brak rozmaitości w przejściach — poeta ciągle czytelnika z miejsca do miejsca wodzi, niemal za rękę — ta jednostajność nużąca obudza tęsknotę i niesmak.

(Koniec nastąpi.)

---

nownego autora, o którym korrespondent myśli. Myśl głęboka, poetyczna, z resztą cały układ jenialny téj poezyi, spowodowały redakcyą do umieszczenia choć *bezimiennie* nadesłanéj poezyi, z życzeniem, aby autór jéj jak najczęściéj zdobił Tygodnik tak pięknemi poezyami. *Przyp. Red.*

Doniesienia literackie.

Michała Wiszniewskiego historyi literatury polskiéj tom piąty wyjdzie niebawem z pod prassy.

W Wrocławiu drukuje się poemat Norberta Bredkrajcza pod tytułem: „Matka bohatérka.“

W Galicyi znaleziono w śpichlerzu — dawnym kościółku aryańskim — grób sławnego Socyna.

SPROSTOWANIE. W numerze 19tym na końcu poezyi: „Pobojowisko“, mylnie położono: Wrocław. P.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.